

Czermiński, Adrian

Lata chmurne, lata górne : fragmenty większej całości

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/1, 97-123

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ADRIAN CZERMIŃSKI

LATA CHMURNE, LATA GÓRNE
(Fragmenty większej całości)

ODDAJĄC W RĘCE OBYWATELI... „BIULETYN ZAKOPIAŃSKI”

Po południu 15 lutego 1945 r. rozległo się na Krupówkach w Zakopanem wołanie kolporterów:

— Biuletyn Zakopiaaaa... Biuleeetyn Zakopiański!...

Las rąk wyciągnął się ku chłopakom, trzymającym paczki niewielkich arkusików. Pód nagłówkiem „Biuletyn Zakopiański” widniał napis: „Wychodzi codziennie prócz niedziel”. A z boku: „Nr 1. Cena 3 zł”, i pełen optymizmu: „Rok I”.

Nam wszystkim, którzy przystąpiliśmy do wydawania tej „gazety”, zdawało się, że przekształci się ona w wielki dziennik całego regionu podhalańskiego i snuliśmy na ten temat szerokie plany.

Zakopane w tym czasie było całkowicie odcięte od świata. Kiedy wśród mroźnej ciszy 29 stycznia 1945 r. rozległa się głucha detonacja wysadzonego mostku na potoku Bystre przy skrzyżowaniu ulic Sienkiewicza z Nowotarską — niby pożegnalny salut ustępujących wojsk hitlerowskich — wszelka łączność Zakopanego z resztą kraju została przerwana. Po zniszczonych torach kolejowych nie kursowały pociągi, o naprawie zwalonych mostów nie było w tym czasie mowy; szosą, zatłoczoną przez zdążające na front wojska radzieckie, trudno się było przedostać. Nie działała poczta ani telegraf, telefony były tylko wojskowe. Od czasu do czasu przebijał się na Podhale jakiś urzędowy samochód, wiozący instrukcje dla miejscowych władz zakopiańskiej Rady Narodowej oraz dla Wydziału Informacji i Propagandy w Krakowie. Częściową łączność Zakopanego z Krakowem utrzymywały furki góralskie, którymi kto żyw spieszył do wyzwolonych części kraju, gdzie — jak dochodziły wieści — normalnie już rozwijało się życie. Tak więc Zakopane, będące w tym czasie jak gdyby przyfrontową oazą, zdane było na własne siły i na podawane z ust do ust wiadomości.

Wśród takich to okoliczności grupa uchodźców z powstania warszawskiego, przebywająca wtedy w Zakopanem, przystąpiła do wydawania „Biuletynu Zakopiańskiego”.

Jak znalazłem się w Zakopanem?

Minęło upojenie wolnością powstańczych dni Warszawy, podczas których pod kulami obstrzału przebiegałem Nowy Świat z Jasnej na Tamkę, aby wychodzącą tam „Barykadę Powiśla”¹ zasilać wiadomościami ze Śródmieścia i własnymi literackimi utworami. Minęły pełne nadziei, a potem grozy dni, w których redagowałem i łamałem „Kurier Stołeczny”² na zapleczu Nowego Świata, w pobliżu „Latony”. Pozostało mi żywe wspomnienie dnia, kiedy omal nie spłonąłem wraz z całą drukarnią; widzę jeszcze czerwony język płomienia zapalającego pocisku, który wpadł do magazynu z papierem i farbami... Co było dalej, nie pamiętam, tylko że cały i nie tknięty ogniem znalazłem się przy ul. Górskiego.

Potem przyszedł dzień kapitulacji i tragicznego exodus z tobołkiem na plecach wraz z tłumem ludności pędzonej do Pruszkowa. Przypominam sobie nagle powstałe zamieszanie — moją ucieczkę — kilka strażów w ślad za mną — wieś Dawidy — Stawiska — Milanówek — Pyry z gościnnym domem pp. Niedzielskich i Stelli Olgierd, sekretarza przedwojennego PEN-Clubu.

Niebawem udało mi się dostać do ewakuacyjnego pociągu, idącego do Krakowa, skąd, jak tylu innych warszawskich uchodźców, wyruszyłem do Zakopanego. Jan Wiktor, jeszcze w Krakowie, zaopatrzył mnie w gotówkę i wiktuały oraz w listy do zakopiańczyków. W ten sposób dotrwałem do chwili wyzwolenia.

Zakopane w listopadzie 1944 r. było pełne wyniszczonych, obdartych postaci, nie mających ani dachu nad głową, ani zasobów finansowych. Popowstaniowa rzesza warszawiaków najrozmaitszych zawodów zjechała do Zakopanego, aby w tej oddalonej od głównych szlaków bojowych — jak zdawało się! — miejscowości przeczekać do chwili wyzwolenia. Nie przypuszczał nikt, że tyle tygodni trzeba będzie czekać na powrót do domów, o których nie wiadomo było nawet, czy jeszcze stoją.

Wśród osób przebywających wtedy w Zakopanem znajdowali się pisarze, artyści, dziennikarze, ludzie o wybitnych niejednokrotnie nazwiskach, znanych w całym kraju. Literatom przewodzili Kornel Makuszyński i Ewa Szelburg-Zarembina, wśród profesorów znajdował się Olaf Chmielewski, autor projektu przestrzennej zabudowy Zakopanego, Stefan Jarosz — głośny podróżnik i geograf, profesor polonistyki Miklaszewski i jego syn, znany artysta grafik, malarz portrecista Janusz Janowski, architekt Knauf; teatr reprezentowali: Zofia Jaroszevska, Lindorfówna,

¹ „Barykada Powiśla” — powstańcze pismo wydawane w sierpniu i na początku września 1944 r.

² „Kurier Stołeczny” — powstańcze pismo wydawane w Śródmieściu Warszawy, organ Stronnictwa Pracy — kontynuacja konspiracyjnych pism: „Reforma”, „Naród”, „Polska Odrodzona”.

Andrzej Szalawski i Stanisław Żeleński, syn Boya; film — Tadeusz Kański i Adam Augustynowicz. Byli również muzycy i choreografowie.

Tak zastał mnie ów pamiętny dzień 29 stycznia 1945 r. Miasto opustoszało i przez kilka godzin było niczyje. Na ulicach pojawiły się patrole miejscowej straży obywatelskiej z białymi opaskami na ramieniu. Od strony Chochołowa było słycać strzelaninę i głuchoe odgłosy armat, przez kilka jeszcze dni cichnące, to znów odzywające się.

Nad wieczorem, przez kładkę przerzuconą na miejscu wysadzonego na potoku Bystre mostku, przeszedł pierwszy patrol partyzanckiego oddziału i równocześnie rozeszła się wiadomość, że od strony ulicy Kościeliskiej wkroczyły do miasta większe oddziały radzieckich i partyzanckich ugrupowań. Około ósmej wieczór Zakopane było całkowicie wolne.

Przemarsz wojsk radzieckich od strony Nowego Targu przez Zakopane, na gościniec do Morskiego Oka i Łysą Polanę, w kierunku na Słowację, rozpoczął się już w nocy. Rankiem 30 stycznia widać było ciągnące tabory, piechotę, oddziały konne, jaszczyki z amunicją, lekkie działa. Szli zmęczeni, zabłoceni, śpiewając „zaunywnie”. Kiedy zarządzano dla kóregoś z oddziałów postój, zmęczeni żołnierze padali w swych szynelach, gdzie popadło, na ziemię, w rowie przydrożnym, na gankach zakopiańskich will, w kuchniach i w przedpokojach. Spali.

Władze radzieckie — mówiono wówczas bolszewickie albo rosyjskie! — zajęły wówczas hotel „Excelsior”. Wśród oficerów, których umundurowanie — nowość dla mieszkańców Zakopanego — budziło powszechne zainteresowanie (zwłaszcza podbite czerwienią płaszcze starszyszy), ogólną uwagę zwracał młody, przystojny oficer, o którym mówiono, że jest potomkiem starej arystokracji. Nazywał się Potiomkin. Mało kto wiedział, że jest to partyzancki pseudonim dwudziestokilkuletniego Włodzimierza Macniewa, inżyniera budowniczego z Leningradu, dowódcy partyzanckiego zgrupowania, operującego od dłuższego czasu w rejonie Tatr, po słowackiej i polskiej stronie. Wielu przysięgało, że widziało go, jak podczas okupacji chodził po mieście w mundurze niemieckiego oficera, zbierając wiadomości, a potem nagle znikał, by pojawić się znów po pewnym czasie. Przebąkiwano, że Potiomkin miał swoją kwaterę w Dolinie Kościeliskiej i był w stałym kontakcie z Góralami, co w rezultacie okazało się prawdą.

Potiomkin został pierwszym wojennym komendantem Zakopanego i wytrwał na tym posterunku do marca 1945 r. Na jego polecenie ustawiono posterunki przed ważniejszymi obiektami, uruchomiono elektrownię, którą hitlerowcy zamierzali wysadzić za pomocą założonych środków wybuchowych, rozminowano dworzec kolejowy, naprawiono wodociąg, załatano mosty nad Bystrem i na Białym, uruchomiono kolejkę li-

nową na Gubałówkę. Zakopane wracało do normalnego życia, tylko że do Chochołowa dochodziły odgłosy toczącej się bitwy i że brakowało żywności; zaczynał zagładać głód. Ze Słowacji przywożono mąkę, mięso i tłuszcze. Górale nie chcieli nic sprzedawać, przewidując słusznie, że okupacyjne banknoty, zwane „młynarkami”, nie mają już żadnej wartości. Zaczął kwitnąć zamienny handel.

Następnego dnia po wyzwoleniu Zakopanego odbył się w sali teatralnej „Morskiego Oka” mityng miejscowej ludności z udziałem wojskowych władz radzieckich, przedstawiciele PPR i Związków Zawodowych oraz innych organizacji społecznych. Radzieccy żołnierze agitowali wśród zgromadzonej przed „Morskim Okiem” publiczności. Utworzono milicję obywatelską i zajęto się organizowaniem punktów żywnościowych dla uchodźców z Warszawy i innych miast Polski oraz przydzielaniem im mieszkań w domach opuszczonych przez Niemców.

Wkrótce po owym mityngu przystąpiono do weryfikacji członków poszczególnych Związków Zawodowych, wśród nich Związku Zawodowego Pracowników Sztuki. Weryfikacja odbywała się w ten sposób, że w sali „Morskiego Oka” zasiedli za prezydyjnym stołem — nie pamiętam już przez kogo wyznaczeni — mężowie zaufania, reprezentujący literaturę, teatr, film, plastykę, muzykę i inne działy sztuki oraz, o ile sobie dobrze przypominam, Potiomkin. Przed prezydyjnym stołem defilowały osoby ubiegające się o weryfikację, którą zatwierdzano na podstawie przedkładanych dokumentów albo osobistego poręczenia jednego z członków komisji. Było to bardzo ważne, jako że wielu nie miało wcale papierów stwierdzających ich przynależność zawodową albo też nosiło fikcyjne nazwisko używane w czasie okupacji. Ja np. miałem w kennkarcie wypisany zawód bibliotekarza Czytelni Popularnej w Warszawie, gdzie pracowałem, klepiąc biedę, przez całą okupację.

Pamiętam, że rankiem tego dnia, kiedy miała się odbyć weryfikacja, Kornel Makuszyński, znający mnie jeszcze sprzed wojny, kiedy pracowałem jakiś czas w „Tygodniku Ilustrowanym”³, powfedział, żebym przyszedł na dziesiątą do „Kryształowej” na Krupówkach. Zostałem tam kilku kolegów.

— Łyknij pan! — powiedział Makuszyński. — To bimber od wójta z Czarnego Dunajca! A jak pan będzie przechodził przed stołem, proszę chuchnąć!

Zbliżyła się dwunasta i w świetnym nastroju poszliśmy do „Morskiego Oka”, Makuszyński za prezydyjny stół, ja z innymi na salę. Kiedy pośród defilujących przyszła kolej na mnie, wstąpiłem na podium i z taką

³ „Tygodnik Ilustrowany” (1859—1939), redagowany od 1929 r. przez J. Gebethnera, od 1933 r. przez W. Czarskiego.

siłą chuchnąłem bimbrem, że aż zatkało zebranych wraz z Szelburg-Zarembiną.

— Wystarczy! — powiedział Makuszyński — Za niego ręczę...

— Zweryfikowany, przyjęty! — powiedziano jednogłośnie.

Tak zostałem członkiem Związku Zawodowego Pracowników Sztuki. Filii zakopiańskiej Związku przewodniczył Tadeusz Kański, filmowiec, z którym pracowałem przed wojną przy nakręcaniu jednego z filmów.

Niedługo po tej weryfikacji i utworzeniu Związku Zawodowego Pracowników Sztuki zebrała się grupa dziennikarzy, znajdujących się wtedy w Zakopanem. Czekać — nie wiadomo, jak jeszcze długo — było nie sposób. Byliśmy całkowicie odcięci od świata i wszelkich wiadomości, zdani jedynie na kursujące z ust do ust plotki i pomruki zbliżającej się, to oddalającej bitwy pod Chochołowem, pocieszając się strzępami przypadkowo zabłąkanej gazety. Postanowiliśmy więc wydawać własne pismo — „Biuletyn Zakopiański”.

„Oddając w ręce obywateli pierwszy numer naszego skromnego pisma, nie możemy się powstrzymać od podzielenia się z nimi uczuciem szczerej radości, że danym nam jest — bodaj w tych szczupłych ramach — przystąpić do jawnego pełnienia naszego powołania i obowiązku dziennikarskiego” — głosiła odezwa Komitetu Redakcyjnego. Skład jego stanowili m. in.: niżej podpisany jako sekretarz redakcji, Zbigniew Przygórski jako publicysta, pełniący poza tym obowiązki drugiego sekretarza i redaktora technicznego wraz ze mną, Mieczysław Wionczek jako kierownik działu zagranicznych wiadomości i August Grodzicki, publicysta i redaktor działu kulturalnego. Jako wydawca figurował Związek Zawodowy Pracowników Sztuki — Sekcja Pisarzy i Dziennikarzy oraz Związek Zawodowy Drukarzy i Pokrewnych Zawodów.

„Po pięciu latach dziennikarskiej pracy konspiracyjnej, którą wielu spośród naszych kolegów przypłaciło śmiercią lub strasznymi męczarniami — tu, w Zakopanem, w obliczu Tatr, w wolnej, niepodległej i demokratycznej Polsce powołujemy do życia ten skromny w tej chwili organ, którego zadaniem jest informowanie obywateli o najważniejszych wydarzeniach z zakresu polityki polskiej i światowej, z frontów wojennych oraz z organizującego się życia zawodowego, samorządowego, gospodarczego i kulturalnego stolicy Podhala” — mówiła dalej odezwa.

Pierwszy artykuł wstępny „Biuletynu Zakopiańskiego”, pióra Mieczysława Wionczka, poświęcony był konferencji jałtańskiej. Resztę numeru wypełniały komunikaty z frontu oraz wiadomości miejscowe.

W piętnastu numerach tego pisma — „najdziwniejszej chyba gazety, jaką znają dzieje dziennikarstwa polskiego” — jak we wspomnieniu pisał August Grodzicki — znajdowały się następujące rubryki: artykuły wstępne omawiające zagadnienia z dziedziny wydarzeń zagranicznych, we-

wewnętrznej polityki samorządowej i gospodarczej kraju, zagadnień kulturalnych i oświatowych. Pisali je: Mieczysław Wionczek, Zbigniew Przygórski, niżej podpisany, August Grodzicki oraz Nowicki, którego imienia już nie pomnę, i kolega — nazwisko wyparowało mi z pamięci — podpisujący się „Aw”.

Najobszerniejszy dział stanowiły wiadomości zagraniczne oraz komunikaty z frontu. Zebrane drogą radiową depesze podawały takie nazwy miast, jak Moskwa, Londyn, Waszyngton i Nowy Jork, Sztokholm. Można powiedzieć, że w tym czasie „Biuletyn Zakopiański” był chyba jednym z najlepiej poinformowanych pism w Polsce, jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe.

Następnym ważnym działem była miejscowa kronika, nad którą czuwał Przygórski. Przegląd prasy, robiony ze strzępów gazet dochodzących do nas różnymi drogami, należał do mnie. Dział kulturalny mieli w swej opiece Grodzicki i Przygórski. Numery pisma uzupełniały wiadomości z ostatniej chwili oraz sport i urzędowe komunikaty.

Lokal redakcyjny „Biuletynu Zakopiańskiego” mieścił się przy ulicy Kościuszki 1, ale na narady redakcyjne i w celu opracowania numeru zbieraliśmy się w pokoikach przyległych do drukarni „Polonia” Jana Trybuły, znajdującej się w narożnym domu u zbiegu placu Zwycięstwa i ul. Grunwaldzkiej. Była to skromna drukarnia akcydensowa z kasztami na czcionki do ręcznego składu i z kilkoma pedałowymi maszynami drukarskimi. W jednym z kantorków drukarni robiłem wraz z Przygórskim korektę odbitek „Biuletynu”, a w drugim mieścił się sekretariat redakcji.

Pracę redakcyjną zorganizowałem następująco: każdego ranka zjawiał się Wionczek z nasłuchem radiowym; odbierał go na własnym aparacie, zamelinowanym jeszcze podczas okupacji w jakimś ustroniu w okolicy Zakopanego. Ponieważ w tym czasie nie wolno było posiadać żadnych aparatów radiowych jako w przyfrontowej strefie, Wionczek nadal po kryjomu wysłuchiwał nocą radiowych komunikatów z całego świata, aby rankiem, przebiegłszy ileś tam kilometrów, przynieść je do redakcji. Opracowywałem je w taki sposób, aby można było w jak najzwięźlejszej formie zamieścić jak najwięcej wiadomości na dwu kolumnkach „Biuletynu”. Przygotowane tak „depesze” oddawałem natychmiast do składu.

Artykuły wstępne pisane i dostarczane były z zasady poprzedniego dnia, z tym że nieraz trzeba je było zmieniać, dostosowując do nowych okoliczności, wymagających skomentowania. Kronika, pisana również dnia poprzedniego, była uzupełniana ostatnimi aktualiami. Przegląd prasy robiłem w zależności od otrzymanych gazet. Wszystko to wraz z wiadomościami kulturalnymi, wiadomościami z ostatniej chwili i komunikatami składało od samego rana trzech lub pięciu zecerów, po czym następowało łamanie kolumn, korekta i druk. Około trzeciej w południe nu-

mer ukazywał się na mieście w nakładzie 300 — 500 egzemplarzy, które rozchodziły się bez żadnych zwrotów.

Pieniądże zebrane za „Biuletyn”, którego cena wynosiła 3 zł tak zwanymi „młynarkami”, tj. walutą okupacyjną już wychodzącą z obiegu, dzielone były pomiędzy drukarzy i zespół redakcyjny do czasu, aż okazało się, że „młynarki” przestały być środkiem obiegowym.

W Zakopanem pozamykano sklepy, rynek opustoszał, a wszelkich transakcji dokonywano tylko na zasadzie handlu wymiennego. Wówczas drukarze oświadczyli, że dalej nie będą pracować.

Pragnąc utrzymać ciągłość wydawnictwa, a nie mając innego wyjścia, wygrzebaliśmy w Radzie Narodowej Zakopanego jakieś ponemieckie woskówki, po czym przystąpiliśmy do wydawania, odbijanego na powielaczu, „Biuletynu”.

Te „czarne dni”, 24 i 25 lutego 1945 r., naszego „Biuletynu” zapisały się następującym wydarzeniem: ponieważ kolporterzy odmówili roznośnienia „tego powielanego świstka”, do kolportażu zabrali się sami członkowie zespołu redakcyjnego, którym przewodził August Grodzicki.

Kiedy oba numery wydane tym sposobem rozeszły się błyskawicznie, oprzytomniło to zecerów. Ulegając namowom Trybuły, który zaręczył swemu personelowi, że postara się o wymianę „młynarek” na obowiązującą walutę (co zresztą załatwił potem Narodowy Bank Polski, wymieniając w ilości większej niż obowiązujące 500 zł na osobę), zecerzy wykazali skruchę z powodu porzucenia pracy, wzięli się do drukowania dalszych numerów „Biuletynu Zakopiańskiego”.

Niebawem uruchomiono miejscowy radiowęzeł, którego kierownictwo objął Roman Grudziński, jeden z członków naszego redakcyjnego zespołu. Odtąd pismo nasze rozporządzało nawet „własną” rozgłośnią!

Nie sądzony był jednak „Biuletynowi Zakopiańskiemu” dłuższy żywot. Pierwszy zapodział się gdzieś Wionczek, który niebawem zrobił oszałamiającą, acz krótką karierę jednego z czołowych publicystów tamtych czasów, a potem zniknął nagle z łamów prasy polskiej. Jak chodziły wieści, oparł się gdzieś aż za oceanem... Następny opuścił nas pod koniec lutego August Grodzicki, po którego — jak doszły wieści — przysłano samochód z Katowic, gdzie miało się ukazywać nowe wcielenie dziennika „Polonia”⁴, w którym pracował przed wojną. Grodzicki spakował manatki i nie pożegnawszy się z zespołem, pożeglował w siną dal zdobywać stanowiska naczelnych redaktorów, najpierw na Śląsku, a potem w Warszawie. Powoli zaczęli się wykruszać i inni.

⁴ „Polonia” — katowicki dziennik informacyjno-polityczny, wydawany w latach 1924—1939, organ Chrześcijańskiej Demokracji, związany następnie z Frontem Morges. „Polonię” założył Wojciech Korfanty.

Krakowska prasa zaczęła coraz częściej i obficie docierać do Zakopanego. Celowość dalszego wydawania „Biuletynu” stanęła pod znakiem zapytania. Ciągnęliśmy jeszcze nasze pismo aż do 8 marca, w którym to dniu ukazał się ostatni, 15 numer „Biuletynu Zakopiańskiego”.

Nadchodził czas exodusu. Zaopatrzony w zaświadczenie Wydziału Informacji i Propagandy województwa krakowskiego na miasto Zakopane, mówiące, że „ob. Adrian Czermiński jest członkiem Komitetu Redakcyjnego »Biuletynu Zakopiańskiego« i wyjeżdża w sprawach zawodowych do Krakowa i Warszawy”, wsiadłem na góralską furkę i skroś zasp śnieżnych zacząłem się przebijać ku Obidowej i dalej.

Glejt wydany przez Wydział Informacji, z podpisem jego kierownika J. Wojana i z pieczętką przedstawiającą głowę owcy, okazał się mniej użyteczny od kilku półlitrówek czystej i spirytusu, w które zaopatrzył mnie Stefan Jarosz. Były one otwierającym wszelkie bramy *passé-par-tout* i doskonałą walutą wymienną. Po dwóch dniach jazdy znalazłem się w Krakowie.

Przeglądając dziś, po dwudziestu kilku latach, numery tego niezwyklego zaiste pisma, ogarnia mnie wzruszenie. Odbija się w nim bowiem, jak w niedoskonałym może, ale za to wiernym zwierciadle, ten heroiczny okres Zakopanego wyzwolonego spod okupacji. Przez numery „Biuletynu Zakopiańskiego” przewijają się takie nazwiska, działających tam wówczas osób, jak: Makuszyński, Szelburg-Zarembina, Andrzejewski, Olcha, Zelterowiczowa, Stanisław Żeleński, Szalawski, Mikłaszewski, Chmielewski, Janowski i wielu, wielu innych, plastyków, architektów, profesorów, artystów i pisarzy. Z kolumn „Biuletynu” można wyczytać wiadomości o powstawaniu i działalności w odciętych od świata zakątku Zakopanego takich organizacji, jak Stowarzyszenie Techników czy Związek Zawodów Lecznicznych oraz związki Naukowców, Plastyków, Artystów Dramatycznych, Pracowników Kultury z dwiema sekcjami: Pisarzy i Dziennikarzy.

Przyszły badacz kultury znajdzie na szpaltach „Biuletynu Zakopiańskiego” wiadomości o rozpoczętych w Zakopanem próbach teatralnych *Wesela Wyspiańskiego* i *Moralności pani Dulskiej* Zapolskiej, o organizowaniu tamtejszej Biblioteki Miejskiej i Muzeum Tatrzańskiego przez dyrektora Zborowskiego, o wypożyczalniach książek i o odradzającym się szkolnictwie. Przyszły badacz kultury dowie się, jakie dawano tam wówczas przedstawienia estradowe, koncerty, wieczory autorskie i odczyty, jakie organizowano wystawy. Jak rozwijał się sport po pięciu latach bezczynności okupacyjnej. Całe intelektualne i gospodarcze życie stolicy Podhala — Zakopanego, ogarniętego w tym czasie niezwykłym fermentem twórczym, zostało utrwalone w tych piętnastu numerach „Biuletynu” jak na fotograficznej kliszy.

Toteż szczerą radość przyniósł mi widok jednego z numerów „Biule-

tynu” w ogromnym powiększeniu fotograficznym, umieszczony w Warszawie w 1961 r. na centralnej Wystawie 300-lecia Prasy Polskiej jako jeden z jej eksponatów. Była to niespodziewana nagroda za ten wysiłek, jaki cały nasz zespół redakcyjny włożył w odbudowę dziennikarstwa polskiego po wojnie, wydając w tych nader trudnych warunkach „Biuletyn Zakopiański”.

Tak przedstawia się ten mało znany przyczynek do historii dziennikarstwa Polski Ludowej.

Komplet numerów „Biuletynu Zakopiańskiego”, stanowiącego rzadki dziś eksponat prasy polskiej odbudowującej się po wojnie, złożyłem jako depozyt 5 stycznia 1960 r. w Bibliotece SDP przy Zarządzie Głównym w Warszawie.

SYRENY ŁÓDZKIE I WARSZAWA (PAP 1945—1946)

Górska furka, pełna zdążających do Krakowa pasażerów, toczyła się po rozmarzającym dziedzińcu, od Obidowej w dół, ku Myślenicom. Rzeźkie powietrze poranka odpędziło sprzed oczu zmorę nie dospanej nocy w Obidowej, gdzie leżeliśmy okutani w płaszcze, na podłodze, ściśnięci jak szprotki, jeden obok drugiego. Nocleg opłacało się wódką. W okolicy grasowali maruderzy i miejscowi „zbójnicy”, szukający łatwego łupu.

Wśród tającego śniegu zbliżyliśmy się do Myślenic, a raczej do wielkiego pobojozawiska zalegającego okolicę aż do Mogilan. Niesamowite, makabryczne wrażenie tego widoku opisałem po tygodniu w „Rzeczpospolitej”⁵ nr 105, z 21 IV 1945):

„Pobojozawisko myślenickie [...] Straszą podróżnych wyłaniające się z mgły wieczornej widma stalowych kolosów, najeżone wyciągniętymi łufami. Na mokrej, oczekującej siewu ziemi spoczywają olbrzymie cielska dział i czołgów uśmierconych w zbrodniczym pochodzie. Wokoło walają się całe naręcza nie wystrzelonych naboju, skrzydlate larwy bomb lotniczych i wielkie przeciwpancerne pięści, leżące na aksamicie czarnej roli, niczym buławy kłęski. Spoza spalonych domów wyzierają martwe łufy jak pyski apokaliptycznych potworów, pozbawione już jadu wściekłości. A tam, na samym skraju szosy, dwa dreadnoughty lądowe zamaryły w śmiertelnym podskoku, gdy z paszczą plującą ogniem usiłowały narzecz na siebie.

Obok tych trupów pogruchootanych, wzdłuż nie kończącego się cmentarzyska samochodowych wraków, porozbijanych ciągników, luźno leżą-

⁵ „Rzeczpospolita” — początkowo organ PKWN, pierwszy dziennik, który ukazał się na wyzwolonych terenach Polski w Chełmie 23 VII 1944 r. W okresie, o którym pisze autor, „Rzeczpospolita” ukazywała się w Łodzi.

cych kół i do góry dnem podwracanych podwozi, przydrożny rów białej szosy zieleni się stalowymi hełmami.

Okragłe jak wypłynięta żrenica grynszpanowa, wdeptana w błoto, nadżarte przez rdzę i pełne cuchnącej wody, znaczą ślad niedawnej klęski Germanii... Nieprzeliczona, szaro-zielona masa. Stalowe hełmy, pogubione w popłochu hełmy, pogięte, niegroźne już dzisiaj hełmy, hełmy i jeszcze raz hełmy. Jak tylko sięga wzrok — brudna, mętna fala stalowych hełmów... Przewraca je wichur, toczy, gna w dół i zmiata z powierzchni ziemi. Mocny, ożywczy wichur, który niedawno temu odwrócił kartę naszej historii”.

O zachodzie słońca zajaśniały wieże Krakowa i przez prowizoryczny most na Wiśle wjechałem w ulice miasta.

Następnego dnia pospieszyłem do Pałacu Prasy, w którym organizował się, czy już wychodził „Dziennik Polski”, ale nie mogłem się, nie pamiętam już z kim, dogadać; nie potrzebowano mnie, czy może już nikogo nie potrzebowano, i poradzono, abym poszedł na Basztową do PAP-u, który wtedy nazywał się: Krakowski Oddział POLPRESS-u. Przyjął mnie ówczesny jego kierownik, red. Łęski, bardzo niechętnie. Oświadczył, że nie ma żadnego miejsca i poradził, ażeby pojechał sobie gdzieś do diabła i szukał innego zajęcia. Tak więc wszystkie moje zabiegi, ażeby zdobyć pracę dziennikarską w Krakowie, wzięły w łeb i zostałem na lodzie. Trzeba było oglądać się za jakimś zajęciem.

Poszedłem na Krupniczą do Juliana Przybosa (mego kolegi jeszcze z ławy uniwersyteckiej na UJ, a potem z ZZLP), który przyjął mnie z otwartymi ramionami. Natychmiast dostałem 21 marca 1945 r., zaświadczenie, podpisane przez Tadeusza Kwiatkowskiego, że jestem członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich, Oddział w Krakowie, i załatwiono dla mnie miejsce w „czytelnikowskim” autobusie jadącym do Łodzi, co było nie lada gratką przy ówczesnych środkach komunikacji. Miałem udać się do bawiącego tam właśnie Borejszy. Nad wieczorem dobrnąłem do Łodzi, całkiem obcego mi i nie znanego miasta.

Następnego dnia dowiedziałem się, że w łódzkim PAP-ie pracuje Marian Podkowiński, z którym przed wojną redagowaliśmy „Biuletyn Polskiej Informacji Literackiej” (PIL)⁶, a w czasie okupacji utrzymywaliśmy stały kontakt. Dowiedziałem się też, że w łódzkim radio znajduje się Janek Piotrowski, z którym pracowaliśmy podczas oblężenia Warszawy w Służbie Informacyjnej Polskiego Radia, a w czasie okupacji byliśmy sąsiadami przez podwórko. Odnalazłem też wielu innych warszawskich

⁶ Biuletyn wydawany przez spółdzielnię dziennikarską, traktujący o bieżącym życiu literackim; zamieszczał m. in. wywiady z pisarzami. Ukazywał się regularnie w Warszawie kilka razy w tygodniu.

kolegów i znajomych, jako że wtedy Łódź „pełniła obowiązki” zburzonej stolicy i ogólnopolskiego ośrodka prasy i literatury.

Podkowiński zabrał mnie do siebie i umieścił w zajęтым przez siebie mieszkaniu, w którym gościły również inne osoby, bawiące w Łodzi przelotem do innych ośrodków wyzwającego się kraju. Przedstawił mnie Andrzejowi Janowi Nowickiemu, ówczesnemu dyrektorowi naczelnemu PAP-u, i z dniem 29 marca 1945 r. zostałem pracownikiem Polskiej Agencji Prasowej POLPRESS⁷, przemianowanej później na PAP.

Dostałem więc „propusk”, podpisany przez naczelnika garnizonu m. Łodzi generał-majora Furta, upoważniający do poruszania się po mieście przez całą dobę, jako że wtedy obowiązywała godzina policyjna, a pracowało się w PAP-ie również wieczorami, a nieraz nocą. Z miejsca zostałem włączony do tzw. „sztabu” redakcyjnego, któremu przewodziła Felicja Wągrowska, pełniąca obowiązki redaktora naczelnego w zastępstwie Julii Mincowej, przebywającej w warszawskiej centrali PAP-u. Byłem jednym z trzech redaktorów odpowiedzialnych centralnego „Biuletynu” wraz z Podkowińskim i Turkiewiczem. Naszym zadaniem było przeglądanie, adiustowanie i kwalifikowanie do zamieszczenia na kartkach biuletynu materiałów krajowych i z frontu. Wiadomości zagraniczne miały oddzielny biuletyn.

Z kolegów pracujących wówczas w łódzkim PAP-ie przypominam sobie Leopolda Marschaka, Antoniego Mirka-Olchę, który z Zakopanego też przywędrował do Łodzi i został kierownikiem działu rolnego wraz z Piotrem Ziarnikiem; Sawickiego, który potem został kierownikiem łódzkiego oddziału; znanego mi sprzed wojny Michała Orlicza, którego sprowadzono specjalnym samolotem z Wilna jako filmowca-publicystę; malowniczą postać Ludwika Jerzego Kerna, w którym durzyły się wszystkie kobiety i który potem dziennikarskie styło zamienił z powodzeniem na pióro bajkopisarza, oraz jedną z najmilszych i najpiękniejszych koleżanek — Krystynę Boergerową, nie bojącą się ani wieców fabrycznych, ani jazdy na motocyklu, ani konferencji na wysokim szczeblu wojewódzkim, jako że zajmowała się w PAP-ie sprawami polityki wewnętrznej oraz społecznym i krajowym reportażem. Poza wymienionymi osobami pracowało wówczas w Łodzi wielu dziennikarzy, tak w redakcji, jak i w administracji, ale trudno o wszystkich pamiętać.

Z outsiderów pamiętam znakomicie zwałistą postać Jasia Dąbrowskiego, redaktora naczelnego „Robotnika”⁸, który przedrukowywał z PAP-u moje notatki i sprawozdania z życia kulturalnego Łodzi, które pisałem

⁷ Polska Agencja Prasowa (PAP), założona w lipcu 1944 r. w Lublinie, przeniesiona następnie do Łodzi, nazywała się POLPRESS, od 18 X 1945 r. w Warszawie.

⁸ „Robotnik” — organ PPS, wznowiony po wyzwoleniu w Lublinie 11 XI 1944 r., przeniesiony następnie do Łodzi, a stamtąd do Warszawy.

niezależnie od zajęć odpowiedzialnego redaktora PAP-u. Materiały moje z PAP-u były wykorzystywane również przez „Rzeczpospolitą”, dla której oprócz tego pisałem specjalnie zamawiane artykuły. Poprzez Jana Piotrowskiego i Mariana Piechała nawiązałem też kontakt z łódzką rozgłośnią Polskiego Radia, dostarczając audycji z zakresu zagadnień kulturalnych i reportaży o ochronie przyrody i o reaktywowanym Polskim Towarzystwie Krajoznawczym. Kilka artykułów i audycji poświęciłem powstającemu Stowarzyszeniu Pisarzy Robotniczych, niezależnemu od Związku Zawodowego Literatów Polskich i mającemu się rządzić własnym statutem z prawami przysługującymi związkom zawodowym. Pisałem też o Pierwszym Zjeździe Pisarzy Chłopskich, jaki się odbył w Warszawie, a na którym dyskutowano definicję chłopskości — pochodzenie pisarza czy uprawianą przez niego tematykę wiejską — i sprawę powstania Zespołu Pisarzy Chłopskich w łonie ZZLP. Zajmowałem się też tak popularnym później zagadnieniem masowego czytelnictwa, bibliotek powszechnych i szkolnych, wiejskich czytelni i fabrycznych świetlic. Brałem też udział w różnego rodzaju masówkach i zebraniach załóg fabrycznych w Łodzi, dostarczając prelegentom materiałów informacyjnych o sytuacji na frontach i wyjaśniających niektóre sprawy polityczne i gospodarcze kraju. A czasy były gorące i wydarzenia nadchodziły jedno po drugim.

Rankiem 12 kwietnia 1945 r. poruszyła całe miasto wiadomość o śmierci Roosevelta do tego stopnia, że nawet żołnierze radzieccy, nieskorzy i niezwykle rozmawiać z przechodniami, zaczepiali mieszkańców Łodzi, wyrażając swą boleść z powodu śmierci prezydenta USA. I było widać, że są tym naprawdę przejęci i zmartwieni. Drugim przeżyciem była podana 2 maja 1945 r. wiadomość o upadku Berlina, a dzień 8 maja, kapitulacji Niemiec, nazwany później Dniem Zwycięstwa, obwieściły honorowe salwy armatnie i przeciągły ryk łódzkich syren fabrycznych. Było to również jak gdyby moje pożegnanie z łódzkimi syrenami. Bowiem po zakończeniu 1-Majowego pochodu, w którym reprezentowałem PAP, krocząc pod czerwonym sztandarem, dyrektor Nowicki urządził w siedzibie PAP-u przy Piotrkowskiej przyjęcie dla całej łódzkiej prasy, wręczając kilku osobom premie „z okazji świąt państwowych 1 i 3 Maja za wydajną i owocną pracę” — jak głosił tekst doręczzonego zawiadomienia. Jak widać, praca moja musiała być rzeczywiście „wydajna i owocna”, skoro dostałem niebagatelną wtedy sumę 800 zł i zawiadomienie o przeniesieniu mnie do warszawskiej centrali PAP-u.

Tak więc gdzieś w połowie maja 1945 r. pojechałem PAP-owską ciężarówką wraz z kilkoma osobami z łódzkiego zespołu redakcyjnego i administracyjnego PAP-u do Warszawy. Pogoda była piękna, majowa, szosa zakurzona. Wczesnym popołudniem wjechaliśmy od strony Woli w kanyon zburzonych i nie uprzątniętych jeszcze ulic Warszawy. Wrażenie

było tak silne i przejmujące, że wiele osób, zwłaszcza kobiety — wśród nich urocza Janka Marschakowa — po prostu płakały. Czarne czeluście rozwartych bram nie istniejących już domów i piwnic napawały przerażeniem; wiszące jeszcze stropy i niczym nie podparte ściany zdawały się napierać na samochód i grozić nagłym zawaleniem. Przepastne jamy na jezdni, pełne nie rozbrojonych jeszcze niewypałów, gdzieś uspokajające napisy: „min niet”, i tragiczne, wypisane na murach adresy i „listy” poszukujących się osób oraz pustka, kosmiczna pustka miasta gruzów, mączona lotem gołębi i szmerem przemykających szczurów — to było witające nas miasto, tak dobrze znane, a tak obce i przeraźliwe teraz.

Samochód nasz, przewalając się jak czołg wśród ruin fosforyzujących płomiennymi, szeroko rozwartymi oczami bezpieczeństwa kotów, wtoczył się w końcu do Śródmieścia. Ulokowano nas w zarezerwowanych przez redakcję PAP pokojach hotelu „Polonia”, jednego z nielicznych budynków ocalałych w lewobrzeżnej Warszawie. „Polonia” była wówczas prawdziwą oazą wśród otaczających ją ruin i tzw. „kanady”, czyli bazaru pod gołym niebem przy Poznańskiej; można tam było dostać wszystko — od jarzyn i kartofli do radzieckich i unrowskich specjałów i od starzyzny ubraniowej i wyszabrowanych z opuszczonych mieszkań antyków.

Redakcja PAP-u mieściła się na Pradze, w dużym ponurym domu przy Targowej. Dojeżdżaliśmy tam redakcyjnymi ciężarówkami, z ławkami dla pracowników. Samochody odchodziły i powracały z Pragi o oznaczonych godzinach. Kto się spóźnił, dyrdał piechotą przez wysokowodny most, którego pilnowały „regulowszczyce”, radzieckie umundurowane dziewczęta, krzycząc na zbierające się osoby i przepuszczając je grupkami od czasu do czasu. Można też było dojechać do PAP-u „dylizansem”, składającym się z wiejskiego wozu zaprzęzonego w konia i woźnicy, zapowiadającego ochryplym głosem kurs: — Na Pragę, na Pragę!

W Warszawie obowiązywała godzina policyjna jeszcze do końca 1945 roku, dlatego redakcja PAP-u zaopatrzyła swoich pracowników w przepustki z Komendy Wojskowej, upoważniające do „poruszania się po ulicach Garnizonu m. st. Warszawy przez całą noc”. Zachowałem jedną taką przepustkę z podpisem „Komendant Garnizonu płk. dypl. Sokólski” i z okrągłą pieczętką przedstawiającą orła z napisem w otoku: Wojsko Polskie.

Pracę w PAP-ie zaczynaliśmy o 8 rano, a kończyliśmy o trzeciej, ale często i później, wieczorem. Pełniłem obowiązki redaktora dyżurnego, czyli dziewczki do wszystkiego. Wraz z Kazimierzem Pollackiem byliśmy w redakcji jedynymi „bibrami”, jako że noszenie brody nie było wówczas w zwyczaju. Często szczytywaliśmy woskówki z oryginalnym tekstem, w czym pomagał nam jeszcze jeden starszy kolega, nie pamiętam już, kto.

Posyłano mnie też na różnego rodzaju imprezy, wywiady i rozmowy, nie-raz z wysoko postawionymi osobami. Nie zapomnę nigdy rozmowy z Osóbką Morawskim, który nie mógł dać sobie rady z całą baterią stojących na biurku telefonów, odzywających się bez przerwy. Dziwne było tylko to, że potem na kartkach „Biuletynu” PAP-u rozmowa ta miała „ręce i nogi”, a co ważniejsza „głowę”, co już było tajemnicą Julii Mincowej, redaktora naczelnego centralnego „Biuletynu” PAP-u.

Pamiętam też dość częste moje wizyty w gabinecie ministra Informacji i Propagandy, Stefana Matuszewskiego. PAP wysyłał mnie na rozmowy również z innymi dygnitarzami, z przedstawicielami UNRRA i z radeckimi osobistościami.

Na podobnych zajęciach zeszły mi w PAP-ie dwa miesiące i dopiero uroczystości grunwaldzkie w lipcu 1945 r. przerwały monotonię mojej pracy. Kiedy zaproponowano mi zorganizowanie prasowej obsługi Grunwaldu, niezmiernie się ucieszyłem, bo to i coś innego, i możliwość zobaczenia po raz pierwszy ziem dawnego zaboru niemieckiego oraz pola historycznej bitwy.

OD GRUNWALDU DO BELGRADU

Uroczystości grunwaldzkie w 535 rocznicę zwycięstwa Jagielly nad Krzyżakami były pierwszą w Polsce po wojnie imprezą zakrojoną na międzynarodową skalę, z udziałem KRN, rządu, przedstawicieli partii, organizacji, młodzieży oraz zagranicznych delegacji. Patronat nad obchodem objął pełnomocnik rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Okręg Mazurski płk dr J. Prawin i Komitet Organizacyjny Obchodu 535 Rocznicy Zwycięstwa pod Grunwaldem oraz Dyrekcja Okręgu Poczty i Telegrafów w Olsztynie, która zapraszała „na uroczystość otwarcia Urzędu Poczto-wo-Telekomunikacyjnego Grunwald w dniu 15 lipca 1945 roku jako 535 rocznicę wiekopomnego zwycięstwa”.

Pocztowe uroczystości rozpoczęto od mszy polowej i oficjalnych przemówień; w nowo otwartym urzędzie pocztowym rozdano piękne karnety z orłem i trąbką pocztową oraz z naklejonym okolicznościowym znaczkiem pocztowym, przedstawiającym fragment bitwy grunwaldzkiej, ostemplowanym pamiątkowym datownikiem: „Grunwald 1410 — 15 — 7 — 1945”. Pocztowe uroczystości zakończono w Olsztynie obiadem, połączonym z częścią artystyczną, w której wystąpił ludowy zespół nie tyle młodzieżowy, co małych dzieci, zresztą bardzo udany. Charakterystyczny dla owych czasów był dopisek na zaproszeniu: „Uprasza się P.T. Gości o zabieranie ze sobą koców” do kwater przygotowanych dla zaproszonych.

Państwowe uroczystości odbyły się tego samego dnia. Na historycz-

nym polu bitwy ustawiono trybunę, z której przemawiał prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut oraz inni dostojnicy państwowi, partyjni, przedstawiciele organizacji i młodzieży oraz zagraniczne delegacje. Defiladę i przysięgę podchorążych, pasowanych na oficerów, odbierał przed trybuną marszałek Michał Rola-Żymierski.

Obsługę prasową uroczystości grunwaldzkich zorganizowałem następująco: ciężarówką PAP-u wyjechaliśmy z Warszawy 14 lipca na noc, a do Grunwaldu przybyliśmy 15 lipca o 4 rano. Natychmiast połączyłem się telefonicznie z oddziałem PAP-u w Olsztynie, którego kierownikiem był Zbigniew Przygórski, ten sam, z którym redagowałem „Biuletyn Zakopiański”. Rozmową tą zainaugurowałem czynności nie otwartego jeszcze oficjalnego urzędu pocztowego w Grunwaldzie.

Ekipa PAP-u, na której czele stałem, składała się z kierowcy i 12 pań, wśród których była tłumaczka z rosyjskiego, jedna stenografka i jedna maszynistka oraz jedna oprócz mnie dziennikarka, Helena Duninówna, nie biorąca udziału w obsłudze prasowej uroczystości.

Przygórskiemu, który natychmiast przybył do Grunwaldu, zleciłem pieczę nad zastenografowanymi i znajdującymi się w maszynopisie przemówieniami wygłaszanymi na trybunie i podczas akademii, a jego żonie, Irenie, zebranie materiału reportażowego z uroczystości. Przemówienia stenografowała Walentyna Daniszewska z warszawskiego PAP-u, a zdjęcia robił jeden z olsztyńskich fotografów. Koordynację obsługi i opracowanie materiałów zostawiłem dla siebie.

Zaopatrzeni w białe opaski na ramię z napisem PRASA i z pieczęcią Urzędu Pełnomocnika Rządu RP na Prusy Wschodnie, mogliśmy się swobodnie poruszać po całym polu grunwaldzkim.

Bolesław Bierut, który przybył do Grunwaldu samolotem wraz z dwiema córkami, wręczył mi osobiście tekst swego przemówienia, pisanego częściowo na maszynie, a częściowo ręcznie na blankietach z orłem i nagłówkiem „Prezydent Krajowej Rady Narodowej”. Wręczając mi swoje przemówienie, powiedział; — Usiądźmy tu sobie, na tych stopniach (drewnianej trybuny), jeszcze raz przejrzyć tekst! — po czym dokonał w nim kilku poprawek.

Po zakończeniu uroczystości wróciliśmy do Olsztyna i natychmiast przystąpiliśmy do opracowywania materiału. Teksty rosyjskie tłumaczyła Leontyna Ratyńska, a Maria Wątopek przepisywała je na maszynie wraz ze stenogramami Daniszewskiej. Do materiałów grunwaldzkich dołączyłem materiał z akademii, a przemówienia Bieruta jako osobny załącznik. Cały materiał wraz z przemówieniami marszałka Żymierskiego i przewodniczącego radzieckiej delegacji gen. Gondurowa miałem gotowy już o pół do dziesiątej wieczorem. Do tego doszły jeszcze przemówienia wygłoszone podczas bankietu na zamku olsztyńskim.

Sala zamkowa — którą dopiero wtedy zobaczyłem — zrobiła na mnie wielkie wrażenie, jak i sam bankiet z udziałem wojskowych delegacji zagranicznych Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii i Francji. Zanotowane skróty wygłoszonych na bankiecie przemówień wraz z przygotowanym dla PAP-u materiałem z uroczystości grunwaldzkich natychmiast po bankiecie uzgodniłem z dyrektorem departamentu Ministerstwa Propagandy i Informacji Jerzym Bachrachem, z którym znaleźliśmy się jako dziennikarze przed wojną.

Następnego dnia, 16 lipca, udałem się zaraz rano wraz z red. Jerzym Kurylukiem do pełnomocnika rządu płk. Prawina, prosząc o połączenie z Warszawą, aby cały materiał przekazać telefonicznie. Na skutek technicznych trudności uzyskanie połączenia okazało się niemożliwe, wobec czego cały materiał wręczyłem o 9³⁰ pułkownikowi Sidorowi z MSZ, jadącemu samochodem do Warszawy, prosząc go, aby po przybyciu doręczył wszystko jak najprędzej red. Julii Mincowej w PAP. Niestety Sidor zapomniał oddać te materiały i cała moja praca poszła na marne, a ja miałem z tego powodu kłopoty i nieprzyjemności.

Po przepisaniu ze stenogramów reszty materiałów z uroczystości grunwaldzkich, m. in. przemówienia ówczesnego ministra spraw zagranicznych Wincentego Rzymowskiego, w południe cała ekipa odjechała do Warszawy.

Po powrocie do Warszawy złożyłem natychmiast piśmienny „raport” o przebiegu wycieczki „Popressu” i zorganizowaniu obsługi prasowej na uroczystościach grunwaldzkich — jako że wówczas wszelkie urzędowe sprawy w PAP załatwiano w trybie wojskowym. Nadmieniałem o przekazaniu materiałów, podkreśliłem „subordynację i daleko idące zrozumienie obowiązków” przez kierownicę i prosiłem o przyznanie premii osobom, które pracowały przy obsłudze prasowej uroczystości grunwaldzkich. Nadmieniałem też o wydatnej pomocy oddziału olsztyńskiego PAP-u i red. Przygórskiego przy opracowaniu materiałów oraz o zorganizowaniu przez niego dla wszystkich członków ekipy bezpłatnego zakwaterowania i wyżywienia, nadmieniając: „wobec czego wręczony mi zapas alkoholu przez min. Mincową zwracam z powrotem”. — Takie to były czasy, że na wszelki wypadek jadących służbowo pracowników PAP zaopatrywano w najskuteczniejszą wówczas „delegację” i „walutę” — spirytus i czystą, ale mam wrażenie, że mało kto zwracał alkohol z powrotem!

Nie pamiętam już, czy inicjatywa zorganizowania obsługi prasowej uroczystości grunwaldzkich przez PAP wyszła ode mnie, czy też polecił zorganizować ją ktoś inny; a jeśli tak, to nie wiem do dziś, komu zawdzięczam, że mnie powierzono jej zorganizowanie. Dość, że była to moja pierwsza samodzielna praca w PAP-ie i mimo że w rezultacie nie przyniosła zamierzonego celu — musiała wypaść zadowalająco, skoro w dwa miesią-

ce później zostałem wysłany do Jugosławii jako przedstawiciel PAP i członek pierwszej delegacji dziennikarzy polskich do marszałka Józefa Broz-Tito.

Na zaproszenie ambasadora Jugosławii w Polsce Bożo Ljumovića sześciuosobowa grupa przedstawicieli warszawskiej prasy udała się samolotem do Belgradu. W Jugosławii byliśmy gośćmi tamtejszego Ministerstwa Informacji. Trzytygodniowy program pobytu delegacji polskiej przewidywał zwiedzenie Belgradu z okolicą Zagrzebia, Rijeki, szeregu pomniejszych miejscowości i zakładów pracy oraz przeprowadzenie rozmów z czołowymi przedstawicielami rządu, parlamentu, organizacji społecznych i związków zawodowych. Kulminacyjnym punktem pobytu delegacji dziennikarzy polskich była wizyta u marszałka Broz-Tito.

Delegacja odleciała 18 września 1945 r. o 9 rano z lotniska mokotowskiego wielkim transportowcem wojskowym typu douglas. „Rzeczpospolitą” reprezentował Antoni Bida, Polską Agencję Prasową (PAP) — niżej podpisany, „Kurier Codzienny”⁹ — Edward Dąbrowski, „Głos Ludu”¹⁰ — Antoni Piwowarczyk, „Dziennik Ludowy”¹¹ — Tadeusz Rek, a „Życie Warszawy”¹² — Stanisław Sachnowski (Jacek Wołowski). Delegacji towarzyszył radca ambasady jugosłowiańskiej w Polsce N. Kraigner, a w samolocie leciał wraz z nami Jan Karol Wende, nasz ambasador w Jugosławii.

Po trzech godzinach lotu wylądowaliśmy na lotnisku belgradzkim, które porządkowali niemieccy jeńcy wojenni, pracujący przy odbudowie zniszczonego przez siebie pola startowego. Umieszczono nas w hotelu „Majestic”, pełnym zagranicznych gości.

Delegacja nasza, serdecznie podejmowana przez gospodarzy, odbyła szereg konferencji z przedstawicielami rządu centralnego, z osobami reprezentującymi Front Ludowy (Narodni Front) oraz partię opozycyjną. Przewodniczący Związkowej Skupszczyzny, dr Ivan Ribar, zapoznał nas z problemami ustrojowymi nowej Jugosławii i z zagadnieniem wyborów do przyszłej Konstytuanty.

Całe miasto było oklejone plakatami propagującymi I Kongres oraz przeprowadzenie referendum w sprawie detronizacji króla Piotra II i utworzenia republiki. Te agitacyjne plakaty, nieraz bardzo zabawne i po-

⁹ „Kurier Codzienny” — dziennik Stronnictwa Demokratycznego, ukazywał się w Warszawie nakładem „Nowej Epoki” od 8 sierpnia 1945 r.

¹⁰ „Głos Ludu” — centralny organ PPR, założony w Lublinie 14 XI 1944 r., przeniesiony następnie do Łodzi, a potem do Warszawy.

¹¹ „Dziennik Ludowy” — organ Stronnictwa Ludowego, założony w Warszawie 29 VIII 1945 r.

¹² „Życie Warszawy” — warszawski dziennik „czytelnikowski” ukazywał się od 15 X 1944 r. początkowo na Pradze, a następnie w prawobrzeżnej części Warszawy.

mysłowe, interesowały szczególnie Antoniego Bidę jako dyrektora departamentu naszego Ministerstwa Informacji i Propagandy. Łaził wciąż po ulicy i notował hasła wyborcze, podczas gdy ja wolałem obserwować codzienne życie miasta, jako że na oglądanie zabytków nie było wówczas nastroju.

Kalemegdan — jedyna rzecz naprawdę godna uwagi w Belgradzie — był wtedy zamknięty i niedostępny, a kiedy chciałem zatrzymać się przed dawnym konakiem — pałacem królewskim — z którego w 1903 r. wyrzucono oknem ostatniego króla z dynastii Obrenovićów, Aleksandra I, wraz z jego żoną, głośną awanturnicą, Dragą Maszin, zwrócono mi uwagę, że lepiej nie przypatrywać się tej budowli. Znajduje się tam teraz więzienie! — dodano ściszym głosem.

W Zagrzebiu, do którego wyjechaliśmy pociągiem, oglądając z okien wagonu zniszczenia okolicy, delegacja nasza złożyła wizytę prezesowi Skupsztiny Chorwackiej Vladimirowi Nazarowi, który przedstawił historię walki o federację narodów Południowej Słowiańszczyzny. Zapytany przeze mnie o kwestię macedońską, dał wymijającą odpowiedź. Podkreślił przy tym liczne i silne wpływy kultury polskiej wśród społeczeństwa chorwackiego, wyrażając przy tej okazji gorącą sympatię dla naszego kraju.

Z Zagrzebia pojechaliśmy samochodami do Rijeki, przez Kralovac, w którym zgotowano nam niezwykle gorące przyjęcie. Chorwacki kierownik naszej ekipy, Malczycki, zaproponował nam zobaczenie przedwyborczego zebrania. Przyjęto nas spontanicznymi oklaskami i posadzono tuż przed trybuną. Na ścianach czytałem napisy: „Teraz będą głosować i kobiety!” — „Młodzież ma również prawo głosu!”

Przerywając tok obrad, wygłoszono przemówienie na część Polski, naszego rządu, wojska i demokracji, za które podziękowałem okrzykiem: „Niech żyje marszałek Tito!” Wtedy entuzjazm doszedł do apogeum, po czym niespodziewanie zabrał po polsku głos profesor miejscowego gimnazjum sławista Pinter. Podziękował mi w imieniu naszej grupy dziennikarskiej Antoni Bida, po czym obrady potoczyły się swoim torem.

Kiedy po pewnym czasie wstaliśmy, aby opuścić salę, podeszła do nas kruczowłosa Chorwatka, trzymając dwie zabytkowe tkaniny miejscowego wyrobu, które udało się jej — jak oświadczyła — ukryć przed wrogiem i wręczyła je Bidzie oraz mnie wraz z braterskim pocałunkiem.

W powrotnej drodze karawana naszych pięciu limuzyn zatrzymała się w dwu ośrodkach wiejskich Chorwacji: w wyniszczonej wojną wiosce Lukować, której mieszkańcy prawie w całości służyli w titowskiej partyzantce i z tej racji wieś była nękana przez hitlerowców i sprzymierzonych z nimi ustaszowców Ante Pavelića. Chłopi rozgadali się o ciężkich czasach, jakie wieś przeżywała w okresie wojny, po czym przeszli na aktualne tematy reformy rolnej. Na pożegnanie ustawili pośrodku podwórza,

wśród gospodarskich sprzętów, stół przykryty białym płótnem, a na nim, czym chata bogata — jęczmienno-żytni chleb, placki kukurydziane i młode, burzące się jeszcze wino.

Druga miejscowość to Bożakowina, resztówka z pięknie utrzymanym podworskim pałacem i starym parkiem. Gospodarz tej ponemieckiej posiadłości i zarządca okolicznych resztówek drug Kolar rozgadał się o sprawach rolnych i o polityce. Reportaże z odwiedzin obu tych miejscowości umieściłem po powrocie do kraju w piśmie „Chłopi”¹³.

Kulminacyjnym punktem programu naszego pobytu w Jugosławii była wizyta u marszałka Broz-Tito, pełniącego wówczas funkcję przewodniczącego rządu, utworzonego wspólnie przez Narodowy Komitet Wyzwolenia Jugosławii i przedstawicieli emigracyjnego rządu królewskiego, jako że dopiero po listopadowych wyborach do Konstytuanty w 1945 r. Jugosławia została republiką.

O piątej wieczorem kolumna limuzyn zajechała przed hotel, aby zawieść nas na Topczider, do podstołecznej rezydencji Tito w dawnym pałacu regenta księcia Pawła. Fakt, że Tito postanowił przyjąć delegację dziennikarzy, i to jeszcze u siebie prywatnie, wzbudził wśród jugosłowiańskich i zagranicznych kolegów wielkie wrażenie. Tłumy ludności przyglądały się naszej kolumnie samochodów, jadącej w otoczeniu świty przedstawicieli rządowych.

Marszałek Tito przyjął nas w saloniku, zajmując miejsce na kanapie, wokół której usiedliśmy półkolem. W głębi zajęli miejsca stenografowie, fotoreporterzy i przybyła z nami jugosłowiańska świta oraz redaktor Branko Cirlić, który miał służyć za tłumacza. Po przywitaniu się z każdym z osobna i zapytaniu, kto jakie pismo reprezentuje, Tito powiedział:

— Co chcecie panowie usłyszeć! Rozmawiam w moim ojczystym języku oraz po niemiecku i po rosyjsku.

Wywiad rozpoczął się. My wyciągnęliśmy notesy. Branko Cirlić zaczął tłumaczyć. Tito rozpoczął od dziejów swojej partyzantki i wyzwolenczej walki.

W ciągu półtoragodzinnej rozmowy Tito poruszył wiele problemów z zakresu wewnętrznej sytuacji i zagranicznej polityki Jugosławii, m. in. sporną wówczas sprawę Istrii i Triestu. Wiele miejsca poświęcił współpracy pomiędzy Jugosławią a Polską, najwięcej jednak — współpracy wszystkich słowiańskich narodów i konieczności zrozumienia przez nich wspólnego interesu dla obrony swych granic, niezawisłości i rozwoju.

— Uważam, że nasze narody słowiańskie doszły do przekonania, iż należy raz na zawsze usunąć wszystko, co mogłoby wywołać nieporozu-

¹³ „Chłopi” — pismo Związku Samopomocy Chłopskiej wydawane od 30 I 1945 r. w Lublinie, potem w Łodzi i Warszawie.

mienia między nimi — podkreślił na zakończenie wywiadu, po czym pożegnał się z każdym z osobna (wypytyując o wrażenia z Jugosławii) i życząc szczęśliwego powrotu do Polski.

Następnego dnia rano pojawiły się w całej prasie na pierwszej stronie zdjęcia i sprawozdania z wizyty dziennikarzy polskich u Tity. Długie kolumny liter powtórzyły każde słowo wypowiedziane podczas tego wywiadu:

„Współpraca narodów słowiańskich odegra wielką rolę w dziejach. Ci, którzy współpracę tę cementują, spełniają historyczną misję. Rozpoczęła się era słowiańska. Na sztandarach swych wypisała hasła pokoju i bezpieczeństwa w Europie, a nie imperializmu” — czytali wszyscy słowa Tity.

Znaleźliśmy się na oczach i ustach wszystkich.

28 września 1945 r. delegacja nasza podejmowana była obiadem przez Ambasadę Polską w Belgradzie, w czasie którego mieliśmy możliwość zetknięcia się z przedstawicielami miejscowej kolonii polskiej oraz z delegacją Polaków z Bośni, organizującą powrót ludności polskiej z tamtejszych terenów do kraju. Wielu z bośniackich Polaków należało do partyzantki Tity, walcząc pod własnym, polskim sztandarem o wolność Jugosławii, o czym nie omieszkałem potem napisać.

Jeszcze kilka spotkań koleżeńskich z belgradzkimi dziennikarzami, kilka pogadanek w tamtejszym radio, które w ramach swoich codziennych audycji w języku polskim oddało swój mikrofon do naszej dyspozycji, abyśmy opowiedzieli o swoich wrażeniach z podróży do Jugosławii, jeszcze wycieczka na Awałę i złożenie wieńców przed majestatycznym pomnikiem Nieznanego Żołnierza dłuta Mestrovića, jeszcze kilka przechadzek po mieście — i po dwudziestu dniach pobytu w gościnnej Jugosławii wyjechaliśmy pociągiem do Budapesztu wraz z delegacją bośniackich Polaków, którzy chcieli zbadać tereny naszych Ziemi Zachodnich pod kątem osiedlenia na nich rodaków, chcących się repatriować.

W zatłoczonym pociągu dojechaliśmy na dworzec Nugati w Budapeszcie. Radziecki żołnierz przepuszcza pasażerów bez żadnych formalności wprost na ulicę, sprawdzając ich tylko „na oko”. Miasto robi wrażenie, jak gdyby wojna dopiero co tędy przeszła.

Zatrzymaliśmy się na Andrassy ucta w Komitecie Pomocy Repatriantom Polskim na Węgrzech, pełniącym rolę nieoficjalnej naszej placówki dyplomatycznej. Prezes Komitetu S. Spasiński poinformował nas o ruchu repatriacyjnym polskich obywateli i o Polakach — przeważnie studentach tamtejszych uczelni — zamierzających pozostać jeszcze na Węgrzech. Wsiadliśmy do naszego pociągu, pilotowanego już od Budapesztu przez uzbrojonych żołnierzy radzieckich, wartujących na początku i końcu każdego wagonu i wyruszyliśmy w dalszą drogę, zabierając część repatriujących się z Węgier polskich uchodźców. Niektórzy jechali wraz

z całym swoim dobytkiem w dołączonych do składu wagonach towarowych.

W Bratysławie zatrzymaliśmy się przez kilka godzin, nie opuszczając wagonów, po czym drogą na Żlinę powróciliśmy do kraju bez sprawdzania paszportów, przybijania wiz i jakichkolwiek formalności granicznych.

RAFY I GAFY

Po powrocie z Jugosławii objąłem kierownictwo wydziału terenowego redakcji centralnej PAP-u, pozostając na tym stanowisku aż do odejścia z PAP-u w lipcu 1946 r.

Skład redakcji Centrali PAP-u wyglądał wówczas następująco: dyrektorem naczelnym był Andrzej Jan Nowicki, redaktorem naczelnym biuletynu zagranicznego — Michał Hofman, a krajowego — Julia Mincowa; jej zastępcą był Jerzy Kowalewski. Sekretarzem redakcji centralnej był Jerzy Brzęczkowski, przedwojenny pracownik PAT, a redaktorem dyżurnym wraz ze mną — Stefan Tabaczyński. Właściwie to ta nasza trójka prowadziła sekretariat redakcji centralnej „Biuletynu” PAP-u.

Na propozycję Mincowej zgodziłem się bowiem pełnić dalej obowiązki redaktora dyżurnego oprócz kierowania wydziałem terenowym. Z pracowników redakcji centralnej przypominam sobie m. in. Antoniego Pisarskiego i Stefana Leczyckiego. Kierownikiem działu kulturalnego, który wchodził w skład redakcji centralnej, był Józef Szwejcer (Jotes) znakomity rysownik, karykaturzysta; w dziale rolnym pracowali Lewandowski i Antotni Olcha, którego przeniesiono wówczas z Łodzi do Warszawy. Dziennikarzem do kontaktów dyplomatycznych był Jerzy Woydyłło.

Wydział terenowy, czy jak go potem trafniej nazwano — Dział Organizacji Oddziałów Terenowych PAP-u, zorganizowałem w następujący sposób: pracowała w nim Lidia Kasmanowa, Ziemięcki i chyba jeszcze trzeci dziennikarz oraz sekretarka. Bezpośrednim moim zwierzchnikiem była Julia Mincowa. Oddziałów wówczas było sześć: Lublin, Łódź, Kraków, Bydgoszcz, Gdańsk i Białystok. Możliwe, że jeszcze i Poznań. Sprawa personalnej obsady oddziałów należała do mnie, ale zawsze była konsultowana z Mincową, a zatwierdzał Nowicki, ustalając równocześnie budżet.

Redakcyjna praca mego działu polegała na kwalifikowaniu i wycenianiu wiadomości nadsyłanych przez oddziały oraz na ich adiustacji przed oddaniem do sekretariatu. Wprowadziłem też zwyczaj wysyłania do terenowych oddziałów PAP instrukcji zalecających, na co w danej chwili trzeba zwracać uwagę, jakie wiadomości przesyłać i w jakiej formie.

Jedna z takich instrukcji, wysłana w styczniu 1946 r. do oddziału PAP-u w Łodzi, z akceptacją Mincowej (zachowała się w mych papie-

rach) zalecała; podawanie wiadomości o przejawach życia partyjnego i współpracy partyjnej w dziedzinie konsolidacji społeczeństwa wokół rządu przy nadchodzących wyborach; sygnalizowanie inicjatywy jednostek w realizowaniu pracy politycznej związków zawodowych i rad zakładowych. Instruowałem: „Idźcie w miasto i w teren robotniczy, informujcie o życiu wielkich zrzeszeń pracowniczych, wskazując na wysiłki ich pracy i na ich bolączki, podchodźcie do zagadnień łódzkich tak, aby stały się zagadnieniami robotników na Śląsku, w Warszawie, w zagłębiu naftowym i w Gdańsku”.

W dalszym ciągu postulowałem sygnalizowanie wszelkich nadużyć i korupcji opartych na konkretnych przykładach, informowanie o sprawach życia codziennego — warunkach pracy, lecznictwa, spraw mieszkaniowych i aprowizacyjnych — o pracy Rad Narodowych w terenie („co robią poza uroczystymi posiedzeniami”?) o sprawach transportu, o bolączkach inwalidów wojennych, o stanie gospodarstw rolnych, o realizacji świadczeń rzeczowych w zbożu, o przygotowaniach do siewu, o życiu gospodarstw powstałych z nadziei ziemi po reformie rolnej. Prosiłem o informacje z dziedziny oświaty i kultury w mieście i w województwie, o poruszanie spraw młodzieżowych i życia inteligencji pracującej. Podając ogólny kierunek, instrukcja przypominała poszczególnym pracownikom Oddziału, czym mają się zająć w szczególności.

Widocznie jednak w oddziałach nie musiało być dobrze, skoro już w lutym 1946 r. redakcja PAP-u wysłała mnie wraz z Jerzym Kowalewskim do Łodzi na „karną ekspedycję” w celu poskromienia poszczególnych rozrabiaczy i rozładowania napiętej atmosfery redakcyjnej. Chodziło m. in. o sprawy osobiste, rzutuujące na pracę redakcyjną. Niektórzy dziennikarze porobili ze swoich sekretarek dziennikarki, forytując sygnowane ich literkami wiadomości; życie erotyczne kwitło i wymagało „spacyfikowania”. Nie pamiętam już dziś dokładnie tych powiązań i zawikłań.

Tymczasem w Warszawie nastąpiła w połowie marca 1946 r. wizyta marszałka Tito. Nie będąc pracownikiem działu zagranicznego ani „attaché dyplomatycznym” PAP-u, jak... Woydyłło, stałem z dala od wszystkich przygotowań do tej uroczystości i nie znajdowałem się na liście osób biorących udział w obsłudze prasowej wizyty Tity. Zwrócił się wówczas do mnie, nie wiem za czym podszeptem, ówczesny redaktor naczelny „Życia Warszawy” Wiktor Borowski z prośbą, abym napisał artykuł wstępny na przyjazd marszałka Tito. Na moją uwagę, że przecież ma tyle dobrych piór w swoim zespole, powiedział, że uważa, iż właśnie ja najlepiej napiszę ten artykuł. Rozmawiał ze mną po południu, a artykuł miał się ukazać w rannym numerze. Ulegając jego prośbom zmobilizowałem się i wieczorem odniosłem mu artykuł, który czytał w skupieniu, stojąc swoim zwyczajem twarzą do ściany i od czasu do czasu bijąc czołem

o mur, w chwilach szczególnego zastanowienia. Potem zwołał sztab redakcyjny i przeczytawszy mój artykuł na głos, oświadczył, że oddaje go do druku. Nie było żadnej dyskusji ani apelacji.

Następnego dnia rankiem bardzo zaafierowana Mincowa powiedziała mi że Tito, przeglądając listę zaproszonych do Pałacyku Myślewickiego, zapytał, dlaczego na liście nie ma Czerwińskiego, którego pamięta z wizyty dziennikarzy polskich w Jugosławii. Widocznie na jego interwencję przysłano mi zaproszenie na wieczór wraz z małżonką. Mincowa oddała do mojej dyspozycji samochód i pojechalśmy do Łazienek — ja w jakim takim garniturze, żona w sukni ze starej podszewki, uszytej specjalnie na tę okazję w ciągu kilku godzin. Łazienki były obstawione wojskiem i szczegółowo sprawdzano zaproszenia.

Marszałek Tito witał przybywających, stojąc u samej góry wewnętrznych schodów pałacyku, a zobaczywszy mnie powiedział:

— A, tak my znakomi z Belgradu! — czy coś w tym rodzaju.

Jugosłowiański ambasador oraz inni członkowie ambasady gorąco mi wieszowali artykułu zamieszczonego na czołówce „Życia Warszawy”, w którym powiązałem zagadnienie Triestu i jego znaczenie dla Jugosławii z zagadnieniem Gdańska i jego znaczeniem dla Polski w okresie przedwojennym i obecnie; omówiłem sprawy walki ze wspólnym wrogiem — hitleryzmem, partyzantki polskiej i jugosłowiańskiej, udziału Polaków bośniackich w partyzantce i powrotu ich do ojczyzny oraz rozwoju pokojowej współpracy między obu państwami: „Witamy na naszej ziemi zwycięskiego wodza bratniego narodu słowiańskiego, którego przyjaźń stanowi mocny trzon w porozumieniu wszystkich państw słowiańskich ze Związkiem Radzieckim” — kończyłem artykuł. Wstępniak bardzo podobał się członkom ambasady Jugosławii, którzy wieszowali mi trafnych sformułowań, w szczególności o Gdańsku i o Trieście.

W kwietniu, maju i czerwcu 1946 r. zajmowałem się pracą w Dziale Organizacji Oddziałów Terenowych PAP-u oraz ich inspekcją. Pamiętam trzy najciekawsze inspekcje: w Gdańsku, w Bydgoszczy i w Białymstoku. Inspekcja gdańska wypadła wczesną wiosną. Bałtyk był jeszcze pełen min, a morze wyrzucało martwe ryby dalekomorskie. Przechodząc plażą zobaczyłem, jak mi się wydawało, torpedę wyrzuconą na piasek. Z całą ostrożnością podszedłem i ujrzałem olbrzymią, chyba kilkumetrowej długości, rozkładającą się rybę o twardej ciemnoniebieskawego koloru, chitynowej skorupie, okrywającej grzbiet jak pancerz. Ryba nie miała już głowy. Mimo że w ciągu wielu lat później pływałem po różnych oceanach i morzach, od arktycznych do południowych, takiego okazu nie spotkałem.

Oddział PAP-u mieścił się wtedy w Sopocie i, o ile pamiętam, miałem co do niego wiele zastrzeżeń. W Gdańsku odbywał się proces stutthofski,

na którym byłem obecny jako przedstawiciel PAP-u. Jednego popołudnia wyszedłem z sali rozpraw wraz z członkami sądu i mającym zeznawać następnego dnia Aldo Coradello, który specjalnie na tę rozprawę przybył ze Sztokholmu. Coradello był przed wojną konsulem włoskim w Gdańsku, a w czasie wojny, jako członek korpusu dyplomatycznego państwa zaprzyjaźnionego z Niemcami, zwiedzał obóz jeńców w Stutthofie, specjalnie przygotowany na jego przyjęcie. Wszystko wyglądało jak najlepiej, nikt się nie skarżył, nikogo nie uśmiercano. Kiedy po kapitulacji Badoglii w 1943 r. Mussolini utworzył nowy rząd, Coradello nie podporządkował się mu, wobec czego Niemcy pozbawili go eksterytorialności i jako zwykłego więźnia wtrącili 6 czerwca 1944 r. do Stutthofu. Dopiero wtedy Coradello poznał całą gehennę życia obozowego. Przewieziony do Szwecji po wyzwoleniu obozu, przyjechał teraz do Gdańska, aby złożyć zeznania. Kiedy okazało się, że znam włoski, Coradello przeszedł na swój ojczysty język i tak na ciekawej rozmowie spędziliśmy cały wieczór.

Następnego dnia, mając zeznawać, oświadczył przewodniczącemu sądu, że nie będzie zeznawać po niemiecku. Poczęto szukać tłumacza, bezskutecznie. Wówczas Coradello oświadczył, że jest na sali dziennikarz władający włoskim. Sędzia wezwał mnie, prosząc, abym zgodził się tłumaczyć. Odmówiłem, mówiąc, że jestem przedstawicielem PAP-u, poza tym nie czuję się na siłach tłumaczyć w tak ważnej sprawie. Wtedy Coradello poręczył osobiście moją dostateczną, jego zdaniem, znajomość włoskiego, a sędzia zaprzysiągł mnie jako tłumacza sądowego. Tak więc musiałem opuścić ławę prasową, na której było wielu nie tylko polskich, ale i zagranicznych dziennikarzy.

Zaczęły się zeznania. Nigdy nie zapomnę wbitych we mnie oczu oskarżonych, nie rozumiejących tylko tyle, że oto znów przybył jakiś człowiek, aby ich pognębić, może świadek ich zbrodni, którego sobie nawet nie przypominają. Ten pełen przerażenia, ale jeszcze większej nienawiści wzrok, a szczególnie jednej hitlerówki, wbity we mnie, przejmował dreszczem i do dziś, po tylu latach, nie mogę się z tego wrażenia otrząsnąć. Co dopiero musiało być, kiedy więźniowie obozu spotykali się z takim wzrokiem.

Konsul Coradello zeznawał początkowo po włosku, a ja tłumaczyłem każde jego zdanie z osobna i dopiero po pewnym czasie, tak jak to ułożyliśmy wspólnie, przeszedł na język niemiecki, a ja usiadłem w przygotowanym dla mnie fotelu.

Następna inspekcja w oddziale bydgoskim wypadła dobrze. Nie miałem większych zastrzeżeń do pracy tamtejszego oddziału. Z inspekcji tej poza sprawami urzędowymi zostało piękne wrażenie jazdy wśród kwitnących bzów samochodem do Torunia i Ciechocinka, skąd pociągiem wróciłem do Warszawy.

Inne wspomnienia zostawiła inspekcja oddziału w Białymstoku. Toczył się tam wówczas proces jakiegoś chłopca półanalfabety, jak mówiło oskarżenie, członka jednej z grasujących tam band. Oprócz mnie sprawozdanie z procesu notował kierownik białostockiego oddziału PAP-u Ławrynowicz, a dla „Robotnika” — Jerzy Rawicz.

Kiedy w sobotę ogłoszono przerwę do poniedziałku, poszedłem, chyłkiem do Dyrekcji Lasów Państwowych i postarałem się o zorganizowanie przez nich ciężarówki na weekend do Białowieży. Naturalnie usiadłem w szoferce i pojechałem wraz z ich pracownikami, nie mówiąc nic nikomu.

A czasy były niepewne. Grasował tam jakiś bandyta, który uzurpował sobie nawet tytuł wojewody i rozlepił po mieście drukowane obwieszczenia, podpisane przez siebie. Nie zważając na pełne grozy opowieści, krążące po całym mieście, pojechałem. Po drodze spotkaliśmy jakiegoś poczciwca, który zatrzymał samochód ręką i poprosił o podwiezienie. Kierowca chciał dodać gazu i popędzić, ale powstrzymałem go, poleciłem stanąć i zabrać pasażera. Po pewnym czasie podziękował i wysiadł. Dalej bez przeszkód dojechaliśmy do Białowieży. Powiedziano mi wtedy, że to był słynny watażka Różga, podpisujący się na plakatach jako „wojewoda”. Ma się rozumieć nie uwierzyłem w to, jako że strach ma wielkie oczy.

Zanocowaliśmy w zniszczonym pałacyku myśliwskim, znanym mi sprzed wojny jako pełen komfortu. Następnego dnia oglądaliśmy muzeum, ogród i nie pamiętam już, czy rezerwat, żubry oraz tarpany, po czym na poniedziałek wróciliśmy do Białegostoku. Dopiero tam dowiedziałem się, jaki popłoch wywołało moje zniknięcie. Bezpieczeństwo zaalarmowało wszystkie miejscowe i okoliczne posterunki, że watażka porwał wysłanego z Warszawy przedstawiciela PAP-u, na komendzie milicji i UB drżała skóra przed odpowiedzialnością, że nie potrafili mnie upilnować i jak się wytłumaczą, że zginąłem. Wszelkie telefony i poszukiwania nie dały rezultatu, a nikt nie domyślił się, nawet Ławrynowicz, że drapnąłem tak gracko do Białowieży.

Wróciwszy do Warszawy, zastałem zawiadomienie stwierdzające, że jestem rzeczywistym członkiem Związku Zawodowego Dziennikarzy¹⁴ RP ze starszeństwa od 1925 r., podpisane przez Stefana Tabaczyńskiego. Z zaświadczeniem tym była cała heca. Kiedy w grudniu czy też jesienią 1945 r. poszedłem na inauguracyjne zebranie Związku, które odbyło się w jednej z sal dawnego BGK, zaczęto, — nie pamiętam już kto — wysuwać zastrzeżenia co do mojej osoby: że właściwie jestem literatem, a nie dziennikarzem (obowiązywała wówczas zasada, że można należeć tylko do jednego Związku Zawodowego!) itp. Nie wiem, komu zależało na tym, ale

¹⁴ Organizacja ta reaktywowana została 26 XI 1944 r. w Lublinie (wówczas ukonstytuował się Zarząd Główny). 11 III 1951 r. połączyła się ze Zw. Zaw. Pracowników Przemysłu Poligraficznego.

pamiętam, że wystąpił z piękną filipiką przeciwko mojej osobie Mikołaj Wadyas, mówiąc, że on sam jest „takim sobie zwykłym łamaczem” i że właściwie takich jak ja w Związku Zawodowym Dziennikarzy nie potrzeba. Wówczas wstałem i powiedziałem krótko, jako że nie lubię długich wystąpień:

— To chyba wyjdę z sali! — i jak gdyby nic usiadłem z powrotem na swym miejscu.

Zapanowała konsternacja, ale nie zdecydował się nikt, ażeby mnie wyprosić.

Jak tam było dalej z tym moim członkostwem, nie wiem, gdyż przestałem się tym interesować, dość że 29 maja 1946 r. Oddział Warszawski Zw. Zaw. Dziennikarzy RP przysłał mi owo zawiadomienie, po czym Główna Komisja Weryfikacyjna poprawiła mój staż na rok 1923 i wpisała do Rejestru Dziennikarskiego za liczbą 28 z podpisem bodajże tego samego... Wadyasa!

W czerwcu nastąpiły w PAP-ie zmiany. Miejsce dyrektora Nowickiego zajął dr Aleksy Deruga. Stosunki między nami ułożyły się od razu niedobrze.

31 maja 1946 r. wręczono mi nową umowę zbiorową, obniżającą o jeden stopień — z IV na III grupę. Wobec tego wniosłem do komisji mieszanej odwołanie, które nigdy nie zostało rozpatrzone. Jak mi poradził Tabaczyński, dobrze zorientowany w tych sprawach, zamiast dochodzić swego machnąłem na wszystko ręką i 27 czerwca podpisałem, że akceptuję przedłożoną mi umowę.

Ale diabli mnie brali, szczególnie że warunki pracy w PAP stawały się coraz cięższe. Mincowa, która — nie wiem z jakich powodów nie ingerowała w tę sprawę — powierzyła mi nie tylko nieoficjalne zastępstwo jej na późnowieczornych dyżurach, ale na dodatek zawiadomiła administrację, że dział transportu PAP-u mnie podlega. W pewnej chwili poczułem się po prostu drugą osobą po Mincowej: przed południem kierownictwo całej sieci krajowych oddziałów i korespondentów PAP-u, po południu dyżur i kontrola nad całością „Biuletynu” centralnego, wieczorem zastępowanie Mincowej, a na dodatek te samochody i obawa przed znanymi kanciarzami samochodowymi, kradnącymi na potęgę benzynę, wówczas limitowaną.

Tego już miałem dosyć. Porozumiałem się z redaktorem naczelnym „Dziennika Polskiego” w Krakowie Stanisławem Witoldem Balickim, który z miejsca zaproponował mi objęcie od 5 lipca 1946 r. stanowiska redaktora warszawskiego „Dziennika Polskiego”¹⁵, co było równoznaczne

¹⁵ „Dziennik Polski” — popularny dziennik „Czytelnika” w Krakowie, założony 4 II 1945 r., kontynuacja „Dziennika Krakowskiego”.

z kierownictwem stołecznego oddziału „Dziennika”. Otrzymałem wynagrodzenie według IV grupy umowy zbiorowej dla dziennikarzy, tj. o 10% więcej niż w PAP-ie. Poza tym zależność tylko od redaktora naczelnego w Krakowie dawała mi wielką swobodę.

Równocześnie z MSZ wyszła sugestia objęcia przeze mnie attachatu prasowego w Teheranie.

4 lipca napisałem oficjalne podanie do Wydziału Personalnego PAP-u z prośbą o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska z dniem 1 sierpnia 1946 r., a dyrektor zwolnił mnie z dniem 14 lipca 1946 r.

Nie było to jednak ostateczne moje rozejście się z PAP-em, gdyż na prośbę Mincowej aż do 31 października 1946 r. codziennie przychodziłem za stałą przepustką do PAP-u aby dalej zajmować się — nie pamiętam już jakimi — sprawami centralnej redakcji PAP-u.

Nowe obowiązki w „Dzienniku Polskim” i w MSZ pochłaniały mnie jednak coraz bardziej.